ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ

Ginter Pierończyk

Moja historia

DOM WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
HAUS DER DEUTSCH-POLNISCHEN ZUSAMMENARBEIT

WYDAWCA | HERAUSGEBER
Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej
Haus der Deutsch-Polnischen Zusammenarbeit
ul. Górnych Wałów 7
44-100 Gliwice

Broszura wydana w ramach projektu „Archiwum Historii Mówionej"
Die Broschüre wurde im Rahmen des Projekts „Archiv der erzählten Geschichte" herausgegeben www.e-historie.pl

REDAKCJA NAUKOWA TEKSTÓW | WISSENSCHAFTLICHE BEARBEITUNG DER TEXTE
dr Joanna Lusek, Muzeum Górnośląskie w Bytomiu

KOREKTA JĘZYKOWA | SPRACHLICHE KORREKTUR
Patrycja Wacław

TŁUMACZENIA | ÜBERSETZUNG
Emilia Wójcik

KOORDYNACJA PROJEKTU | KOORDINATION DES PROJEKTS
Beata Sordon /Martyna Halek

LAYOUT, SKŁAD I DRUK | LAYOUT, SATZ UND DRUCK
Emanuela Janda / Weronika Kuliberda / Digital Monsters

FINANSOWANIE / FINANZIERUNG

URZĄD MARSZAŁKOWSKI Województwa Opolskiego
STAATSMINISTERIUM DES INNERN | Freistaat SACHSEN

Broszura została sfinansowana ze środków Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego oraz Saksońskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
Die Broschüre wurde mit Mitteln des Oppelner Marschallamtes und des Sächsischen Staatsministerium des Innern finanziert

PARTNER | PARTNER

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji
Konsulat der Bundesrepublik Deutschland Oppeln
Konsulat Republiki Federalnej Niemiec Opole

Copyright by Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej
Gliwice – Opole 2022

Ginter Pierończyk

Moja historia

WSTĘP

Słowo „Heimat" ma kilka znaczeń, ponieważ dla wielu ludzi oznacza miejsce, w którym się urodzili i wychowali, gdzie czują się jak w domu.

Niektórzy z nas zaś postrzegają „Heimat" jako cały kraj, podczas gdy inni myślą o konkretnym miejscu, z którym są emocjonalnie związani. To pokazuje, jak złożone i indywidualne jest to pojęcie. W ten sposób Heimat może oznaczać coś innego dla każdego z nas.

Staramy się uczyć z przeszłości oraz doświadczeń naszych przodków, lecz nie zawsze nam się to udaje. Ważne jest by znać historię swojej rodziny i miejsca w którym żyjemy. Tylko wtedy, gdy jesteśmy świadomi swojej przeszłości, możemy spojrzeć w przyszłość i ją kształtować.

Niniejsza publikacja jest zbiorem prac konkursowych „Mój Hajmat – moja ojczyzna", wydana w ramach projektu Archiwum Historii Mówionej Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej. Celem konkursu jest zebranie ciekawych historii z różnych regionów, ukazujących ludzkie losy, niezależnie od wieku, czasu i miejsca.

Każda nadesłana praca konkursowa interpretuje słowo „Heimat" na swój własny, niepowtarzalny sposób. Zebrane materiały stanowią nieoceniony wkład, który nie tylko promuje historię regionu, ale również ma na celu wzbudzenie zainteresowania i ciekawości wśród czytelników, po to by sami zaczęli odkrywać swoją własną przeszłość i tożsamość.

Beata Sordon
Menedżerka projektu Archiwum Historii Mówionej

Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/ów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Die Publikation gibt nur die Ansichten des Autors/der Autoren wieder und kann nicht mit der offiziellen Position des Ministers für Inneres und Verwaltung gleichgesetzt werden

MOJA HISTORIA

(…) Pierwszy syn Jorgusia i Fridy Pierończyków (czyli piszący te słowa) urodził się w dniu 19 lipca 1944 r. w chorzowskim szpitalu przy dzisiejszej ul. Strzelców Bytomskich; Armia Sowiecka i walczące u jej boku Wojsko Polskie stali już pod Lublinem. Swoim narodzeniem sprawił rodzicom wiele radości, jednak już na etapie wybierania imienia, stał się dla nich kopalnią kłopotów. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami imię wybierała matka, jako niemieckojęzyczna Górnoślązaczka wybrała – Giinter, co według niemieckiego imiennika oznaczało: „ten który kieruje wojskiem – dowódca" - w sam raz na wojenne czasy. Wybór nie spodobał się babci Wiktorii, która po swojemu nazwała go Titusiem. Mimo różnicy zdań, w dniu 20 lipca 1944 r., w urzędzie Stanu Cywilnego w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku (Standesamt in Königshütte Oberschlesien), w rodzinnym sztambuchu (Familienstammbuch) Jerzego i Elfrydy Pieronczyków w rubryce „dokument urodzenia" (Geburtsurkunde), wpisano imiona Giinter Gerhard. Zapisano też, że ojcem dziecka jest kierowca lokomotywy dołowej Jerzy Piotr Pieronczyk, katolik (Lokomotivführer Georg Peter Pieronczyk, katholisch), a matką Elfryda Gertruda z domu Bulla, katoliczka (Elfride Gertrud geborne Bulla, katolisch).

W tym samym sztambuchu, w rubryce „Dokument ślubu" (Heiratsurkunde), pod datą 4 stycznia 1943 r. figurował wpis, że pracownik kopalniany (Grubenarbeiter) Georg Peter Pieronczyk, katolik, zamieszkały w Katowice–Zachód (Kattowitz–West), urodzony 28 kwietnia 1920 r. w Załężu obecnie Katowice oraz pomoc biurowa Elfrida Gertrud Bulla, katoliczka, mieszkająca w Katowice–Zachód, urodzona 8 lutego 1923 r. w Załężu obecnie Katowice, w dniu 4 stycznia 1943 r. zawarli związek małżeński w II Urzędzie Stanu Cywilnego w Katowicach. W kolejnej rubryce zapisano, że ojcem męża jest Johann Pieronczyk mieszkający kiedyś w Katowicach, a matką Wiktoria Franciszka z domu Sobczyk, mieszkająca w Katowicach. Natomiast ojcem żony jest Johann Bulla, mieszkający w Katowicach, a matką Rozalia Tekla z domu Soschniok, również mieszkająca w Katowicach.

W tym miejscu czytelnik może zapytać po co ja to wszystko opisuję, czy to jeszcze kogoś obchodzi? Celowo opisałem to tak dokładnie aby pokazać, że w tym sztambuchu zawarta jest krótka historia rodów, z których wywodzą się małżonkowie. Pisząc to miałem nadzieję, że na tej

podstawie uda mi się wywnioskować, skąd wzięła się wzajemna niechęć tych rodów? Dlaczego babcia Wiktoria tak niechętnie zgodziła się na ślub dwojga młodych, kochających się ludzi, którzy – jak z powyższego wynika – od lat żyli na jednym osiedlu, razem uczęszczali do polskich szkół i należeli do tej samej, załęskiej parafii. Idąc dalej tym tropem; ślub brali w tym samym załęskim kościele co ich rodzice, a sięgając jeszcze głębiej, dowiadujemy się, że oba rody przybyły do Załęża u schyłku XIX w.

Patrząc na to wszystko z dzisiejszej perspektywy dochodzę do wniosku, że od dnia urodzin byłem wielkim szczęściarzem. Wprawdzie już nie miałem dziadka ze strony ojca, ale miałem babcię Wiktorię, omę Rozalię i opę Johanna. Dla babci Wiktorii byłem małym Titusiem, dla omy i opy - Gintusiem, żyłem w dwujęzycznym środowisku, a jedni i drudzy godali ze mną po Śląsku. Podczas przygotowań do chrztu, okazało się, że nie było z kogo wybrać ojca chrzestnego, większość wujków była na wojnie (…).

W ostateczności udało się zebrać niezłą koalicję: ojciec - Górnoślązak o polskich korzeniach, matka - Górnoślązaczka o niemieckich korzeniach; ojciec chrzestny - Górnoślązak o czeskich korzeniach, matka chrzestna – Polka, żona Górnoślązaka o polskich korzeniach.

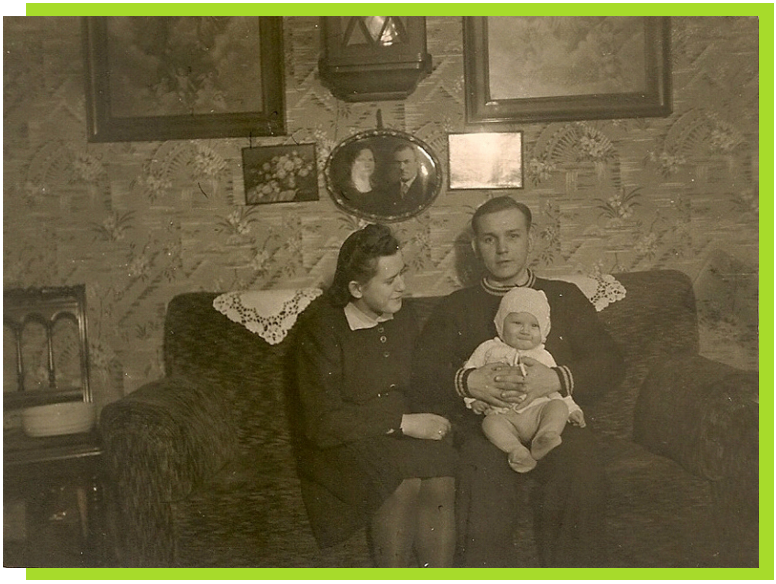

1944 r. – Ginter z rodzicami na sofie w mieszkaniu babci Wiktorii

ZAŁĘSKIE FAMILOKI

Pierwsze załęskie familoki wybudowano na przełomie XIX i XX wieku jako mieszkania dla pracowników kopalni Kleofas. „Były to jednosztokowe (jednopiętrowe) familoki z mieszkalnym poddaszem, każdy składał się z dwóch jednakowych części połączonych wspólną ścianą działową. Do każdej części prowadziło osobne wejście z solidnymi, drewnianymi drzwiami usytuowanymi na frontowej (krótszej) ścianie familoka. Za drzwiami znajdowała się długa sień do której z podwórza wchodziło się po kamiennych schodkach ograniczonych po bokach szerokimi murkami. W połowie sieni znajdowały się schody z gelyndrym (poręczą) prowadzące na kolejne sztoki (piętra). Na każdym sztoku znajdowały się cztery mieszkania składające się z pokoju i kuchni. Metraż mieszkań był tak mały, że sień traktowano jako jego przedłużenie. W zależności od potrzeb sień spełniała różne funkcje: lokowano w niej wielkogabarytowe przedmioty, takie jak wanny do kąpieli oraz wiadra z węglem, chowane pod ławeczką z zasłonką. W razie potrzeby sień była podręczną pralnią, każda gospodyni posiadała w niej własne sznury do suszenia bielizny. Podczas świniobicia, sień zamieniała się w zakład masarski; rozbierano w niej półtusze i wytwarzano wyroby. W wesela lub inne większe imprezy rodzinne - była salą do tańca, a kiedy nastały słotne jesienne dni, zamieniała się w świetlicę (…). Poniżej parteru znajdowały się obszerne piwnice, każda posiadała okienko służące do zrzucania węgla oraz doświetlenia i wentylacji (…). Familoki były skanalizowane i miały doprowadzoną wodę. Na każdym piętrze w sieni znajdował się kurek z bieżącą i zlew na wodę brudną. Ubikacje zaopatrzone w wodne spłuczki znajdowały się w osobnym pomieszczeniu wygospodarowanym kosztem jednego z mieszkań na parterze familoka. Z tego powodu na parterze znajdowały się tylko trzy mieszkania składające się z kuchni i pokoju, jedno posiadało tylko kuchnię. Była to tak zwana ańcla (pojedynka) w której mieszkały osoby samotne, najczęściej, wdowy po górnikach.

Według słów babci Wiktorii, taką osiedlową wspólnotę na familokach niektórzy mieszkańcy nazywali Hajmatem. Załęże było spokojną dzielnicą otoczoną wianuszkiem zadbanych ogródków działkowych, zaś za banom (koleją), rozciągały się łąki pełne polnych kwiatów i pola szumiące łanami zbóż w których chowały się płochliwe zające. Od południa, załęski horyzont zamykał las pełen grzybów i leśnego runa.

Familok babci Wiktorii przy ul. Pokoju 8a

Załęże – historyczny widok od ul. Wiśniowej w kierunku północno- wschodnim (na Rawę), z tyłu widoczny Backhaus z wysokim kominem, z prawej dawny Schlaffhaus dla załogi Cleophasgrube z przełomu XIX i XX wieku, dziś kopalniany familok.

MIEJSCE SPOTKAŃ – ŁAWKI PRZED FAMILOKIEM

Przed familokiem babci Wiktorii znajdowała się drewniana ławka na której codziennie spotykały się miejscowe klachule (gawędziarki). Kobiety nie lubiły „mitrężyć" (marnować) czasu, więc podczas obgadywania bliźnich sztrykowały (dziergały) nowe, lub sztopowały (cerowały) dziurawe fuzekle (skarpety), doglądając przy tym dzieci bawiące się na podwórku. W trosce o czyste powietrze dla dzieci, na ławkę nie mieli wstępu mężczyźni palący tytoń. Dla nich przeznaczona była osobna ławka znajdująca się przy murze oddzielającym familoki od placu szkolnego; tam mogli do woli pykać

swoje ulubione fajki. W przeciwieństwie do babskiego klachania, na ławce przy murze łosprawiano (dyskutowano) o robocie na grubie (kopalni) i aktualnych tematach społeczno-politycznych.

Załęże – historyczny widok od ul. Wiśniowej w kierunku południowo- wschodnim (linii kolejowej). Na pierwszym planie – „zmodernizowany" urząd, Beamtenhaus przy ul. Wiśniowej 8.

DZIEJE RODZINY ORAZ ŻYCIE CODZIENNE

Halbchause czyli familoki połówkowe (…) Do jednego z nich (…) przy ulicy Schaffgotschstraβe 8a, z początkiem XX w. wprowadzili się moi dziadkowie Johann i Wiktoria Pieronczyk z domu Sobczyk. W tym samym czasie z małego domku na Załęskiej Hałdzie, do familoka przy Schaffgotschstraβe 14 wprowadzili się Zygfryd i Eleonora Bullowie z trojgiem dzieci: Johannem, Lorenzem i Martą. Bullowie uważali się za niemieckojęzycznych Górnoślązaków, chociaż niemieckie korzenie posiadał jedynie Zygfryd, jego żona Eleonora pochodziła ze spauperyzowanej, śląskiej rodziny chłopskiej z okolic Gostynia. Mówiąc o tym, babcia Wiktoria chciała pokazać jacy różni ludzie sprowadzali się do załęskich familoków; nikt nie ukrywał swoich preferencji, wręcz przeciwnie podkreślali je już na etapie meblowania mieszkania. W każdej śląskiej kuchni, nad stołem wisiała roma (półka z szufladkami), na której stały pojemniki na cukier mąkę i temu podobne. U polskojęzycznych Górnoślązaków pojemniki opisane były w języku polskim, natomiast u niemieckojęzycznych - w niemieckim. Podobnie było z płóciennymi garniturami (zawieszkami), na których polskojęzyczni Górnoślązacy haftowali

„Szczęść Borze" a niemieckojęzyczni - „Gluck Auf". Wystarczyło wejść do mieszkania i już wiadomo było kto w nim mieszka.

Dziadkowie otrzymali przydział na standardowe mieszkanie składające się z kuchni i pokoju, na drugim sztoku (piętrze), dwusztokowego (dwupiętrowego) familoka. Mieli też obszerną piwnicę z okienkiem do zrzucania węgla oraz chlywik (komórkę) z górką. Na drugi sztok wchodziło się po schodach z gelyndrem (poręczą), który starszym pomagał wspiąć się na górę, a dla młodszych stanowił zjeżdżalnię. Początkowo sienie (klatki schodowe) oświetlono lampami karbidowymi, takimi samymi, jakich górnicy używali w pracy pod ziemią. Na każdym piętrze w sieni znajdował się kokotek (kran) z krystalicznie czystą wodą oligoceńską podawaną wprost z kopalnianego ujęcia w szybie Walter. Zabiegane dzieci piły tę wodę kiedy gasili pragnienie, starsi, najczęściej leczyli nią kaca. Z sieni drzwi prowadziły wprost do kuchni, po lewej stronie stał solidny, ceglany piec z bratrułą (piekarnikiem), za którym znajdowały się częściowo przeszklone drzwi do izby (pokoju). Po ich otwarciu, drzwi dzieliły izbę na dwie części: widoczną - z dwoma oknami na frontowej ścianie i niewidoczną (za drzwiami), z piecem kaflowym w kącie.

Babcia Wiktoria rozpoczęła meblowanie izby od sypialni, urządzonej w niewidocznej części pokoju wstawiając tam łoże małżeńskie z dwoma nocnymi stolikami oraz czterodrzwiową szafę. W widocznej części pokoju, babcia Wiktoria urządziła salon. W jego centralnym punkcie stanął okrągły stół i sześć krzeseł, a pod ścianą naprzeciw wejścia – znalazła się wygodna sofa, nad którą zawisł zegar z kukułką. Po jego bokach babcia Wiktoria powiesiła obrazy przedstawiające sceny z żywota świętych, zaś pod nim, ślubne zdjęcie w gustownej ramce. Pomiędzy oknami stanęła komoda nakryta białym obrusem, a obok w kącie, politurowany wertikoł (szafa-bieliźniarka). Jeszcze tylko nad łożem małżeńskim zawiesiła obraz przedstawiający świętą rodzinę oraz w oknach firany i….. pokój był umeblowany. Po chwili stwierdziła, że na wertikole brak serwetek, własnoręcznie zrobionych z białego kordonka. Były to jedne z tych ozdób, których utrzymanie w czystości wymagało dużego zachodu. Brudne serwetki należało delikatnie prać w rękach, a następnie szkrobić (krochmalić) i szpanować (rozciągać) tak długo, aż przybrały pożądany kształt. Babcia Wiktoria heklowała (szydełkowała) też serwetki, które po odpowiednim wybiglowaniu napuszały się niczym łabędzie na stawie. Kolorowe serwetki na wertikole przypominały motyle, a białe, wyglądały niczym malutkie aniołki.

Po ukończeniu izby, babcia Wiktoria zabrała się do meblowania kuchni. Obok pieca wstawiła kohlkastlę (węglarkę) i ryczkę, (zydelek). Natomiast za drzwiami do izby wstawiła solidne, drewniane łóżko sięgające ściany frontowej z oknem, przez które widać było cztery niskie, kamienne domki i Moltkestrasse (dziś ul. Gliwicka). Dwa rzędy parterowych domków ze spiczastymi dachami pokrytymi karpiówką stały równolegle do Schaffgotschstrasse, z podwórza do sieni wchodziło się po kamiennych schodkach ograniczonych z obu stron murkami. W sieni znajdowały się drzwi wejściowe do dwóch mieszkań, domki nie posiadały kanalizacji, ich ubikacje znajdowały się w zabudowaniach pobliskich chlewików. Nieczystości gromadzono w szambie przed chlewikami, które nakryte było drewnianymi balami. Za domkami były ogródki sięgające do Moltkestrasse (dziś ul. Pokoju), za nią znajdowały się jeszcze dwa podobne domki, które razem nazywaliśmy: „Małe Pokoju".

Przy ścianie naprzeciw łóżka stanął byfyj (kredens kuchenny). Za nim kolejno, idąc w stronę drzwi wejściowych: stół kuchenny z dwoma krzesłami, stojak z miednicą oraz stągiew na wodę oraz szafka na buty razem z przyborami do ich czyszczenia. Narożnik za kuchennymi drzwiami babcia Wiktoria zakryła gustowną zasłonką, za którą schowała szczotki i wiadra służące do utrzymywania czystości. Nad stołem zawiesiła tradycyjną romę, na której ustawiła pojemniki opisane w języku polskim. Ścianę pomiędzy romą a stołem przykryła śnieżnobiałą garniturą (zawieszką) z własnoręcznie wyhaftowanym napisem - „Szczęść Boże", aby zaznaczyć, że tu mieszkają polskojęzyczni Górnoślązacy.

ŻYCIE W CIENIU KOPALNI

Kiedy rytm życia w załęskich familokach zaczęła wyznaczać kopalnia, wszystkie inne kwestie zeszły na dalszy plan. Żony górników bladym świtem zrywały się z pościeli aby wyprawić mężów do pracy. Na odchodnym życzyły im - szczęśliwego powrotu. Po wyjściu z familoków górnicy, niczym rozbiegane mrówki podążali utartymi ścieżkami w kierunku wiaduktu nad dzisiejszą ulicą Wiśniową i niczym wzbierająca rzeka, przemieszczali się w kierunku głównej bramy kopalni Kleofas. Była to najliczniejsza grupa pracowników kopalni, po godzinie podążali za nią mniej liczni pracownicy powierzchni i biuraliści. W czasie kiedy górnicy zmierzali w kierunku bramy kopalni, małżonki szykowały śniadania dzieciom, które po chwili, w znaczniej mniejszej lecz zdecydowanie

głośniejszej grupie, pędziły do szkoły. Po przejściu dzieciarni, pozostali mieszkańcy familoków mogli już zapomnieć o spaniu. Czekali tylko kiedy poranne słonko ogrzeje powietrze i wychodzili na ławkę przed familok. Na odrębnej ławce mężczyźni pykali swoje drewniane lub porcelanowe fajki z których każda była arcydziełem o długoletnim rodowodzie. Panie, na swojej ławce dziergały skarpetki, czapki oraz szaliki, aby bezproduktywnie nie marnować czasu. W tej pracy były już tak wprawione, że jednocześnie potrafiły dziergać i odsypiać wcześniejszą pobudkę.

1975 r. - Sprzątanie bocznicy kolejowej kopalni Kleofas w ramach czynu społecznego

Później z familoków wychodziły małżonki górników, w drodze na zakupy przekazywały swoje małe dzieci pod opiekę babć i dziadków. Staruszkowie chętnie podejmowali się tej opieki, chcąc wykazać się przydatnością dla rodziny. Przy ładnej pogodzie babcie zawijały małe wnuczęta do chacki i wychodziły z nimi poklachać przed familok. Chacka wykonana była z dużej chusty, którą babcie przewiązywały sobie przez plecy w ten sposób, żeby niemowlę znajdowało się na wysokości brzucha. W ten sposób bacie odciążały sobie kręgosłup, a niemowlę miało wygodną i bezpieczną nieckę. W tym czasie na familokach panował względny spokój, jedynie od czasu do czasu przerywany wołaniem szmaciarza, handlarza skórkami lub innego domokrążcy. Żony górników pospiesznie robiły zakupy chcąc zdążyć z obiadem przed powrotem męża z pracy. Spokój na familokach kończył się wraz z powrotem dzieci ze szkoły. Dla matek zajętych gotowaniem obiadu, były one niczym natrętne muchy, więc wyganiały je na podwórko i kończyły gotować obiad. Później w kuchni na stole stawiała talerz do połowy napełniony zupą i przez okno wypatrywała męża wracającego z pracy. Kiedy go wypatrzyła w tłumie, do pełna uzupełniała talerz

gorącą zupą czerpaną z garnka stojącego na rozgrzanej blasze pieca. Zupa nie mogła być za ciepła, ani za zimna, a tym bardziej – Boże broń – przesolona. Taką zupę co bardziej krewcy górnicy, wyrzucali przez okno razem z talerzem. Czasami ciężko pracujący górnicy, wracali do domu tak zmęczeni, że zasypiali przy talerzu, wówczas żona „zwalała" męża na łoże w kuchni i pilnowała aby dzieci nie zakłóciły jego snu.

I WOJNA ŚWIATOWA ORAZ POWSTANIA

Do sierpnia 1914 r. na załęskich familokach życie toczyło się utartym rytmem. Dopiero pobór do pruskiej armii 656 pracowników kopalni Kleofas, w tym 550 pracujących pod ziemią, zakłócił dotychczasowy spokój. Tak duży ubytek załogi szybko odbił się na wynikach kopalni a tym samym na zarobkach górników, które i bez tego ledwo wystarczały na pokrycie podstawowych potrzeb. Pogarszająca się egzystencja, potęgowana zbliżaniem się frontu rosyjskiego, doprowadziła do wzrostu niezadowolenia mieszkańców załęskich familoków. Jego apogeum przypadło na okres powrotu z frontu pierwszych rannych (…). W połowie 1918 r. rozruchy w Załężu przybrały tak duże rozmiary, że zawieszono naukę w szkołach. Po powstaniu suwerennego Państwa Polskiego, wystąpienia robotników zaczęły przybierać jeszcze bardziej radykalny charakter, obok żądań ekonomicznych pojawiły się postulaty usunięcia niemieckich oddziałów wojskowych z Górnego Śląska oraz otwarcia granic z Polską.

Wzmagająca się konfrontacja polsko-niemiecka doprowadziła do wybuchu pierwszego powstania, w Załężu do niewielkich potyczek z Niemcami dochodziło jedynie przy granicy z Dębem. (…) W sierpniu 1920 r. wybuchło II powstanie, mieszkańcy familoków wyruszyli do walki pod sztandarem załęskiego Oddziału Górników Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. (…) Mimo, że powstanie trwało tylko kilka dni, osiągnęło zamierzone cele, o przyszłości Górnego Śląska miał zadecydować plebiscyt.

LATA PO PLEBISCYCIE

W czerwcu 1922 r. do Załęża wkroczyło Polskie Wojsko witane bramą tryumfalną ustawioną nad ul. Wojciechowskiego (dziś ul. Gliwicka) w rejonie ul. Żelaznej. Po przejęciu władzy język polski stał się językiem urzędowym. Do załęskich szkół, większość kadry nauczycielskiej

sprowadzono z Małopolski, po latach germanizacji, dzieci zaczęto intensywnie polonizować. W szkole zabroniono godać, a dzieci które dotychczas uczęszczały do szkoły niemieckiej, przesunięto o jedna klasę niżej.

W czasie plebiscytu, wielu mieszkańców Załęża z przekory zagłosowało za Niemcami. Głównie byli to mieszkańcy, którzy tak jak większość powstańców Kompanii Załęskiej, optowali za wolnym Śląskiem. Teraz stanęli wobec wyboru: wyjechać do Niemiec, czy zostać? Na wyjazd zdecydowało się niewielu, pozostający w Załężu musieli dokonać kolejnego wyboru. Do jakiej szkoły posłać dzieci? Do wyboru były dwie możliwości: niemiecka szkoła przeznaczona dla mniejszości niemieckiej, lub polska szkoła, do której uczęszczały pozostałe dzieci. Nie chcąc opuszczać swego hajmatu, niemieckojęzyczni mieszkańcy załęskich familoków wybrali szkoły polskie. W Załężu mieszkało już sporo rodzin mieszanych, które nie pasowały ani do niemieckiego ani do polskiego wzorca.

Każdy mieszkaniec familoków musiał sporządzić sobie bilans zysków i strat, wynikający z jego dotychczasowej postawy. Kopalnia Kleofas pozostała w rękach spadkobierców Giesche, mogło to być zapowiedzią kłopotów dla tych górników, którzy w czasie powstań walczyli przeciw Niemcom. Jednak nie to było największym zmartwieniem, o wiele gorzej przedstawiała się sytuacja powstańczych wdów i sierot, którymi nie miał się kto zaopiekować. W pierwszej kolejności trzeba było zadbać o Polaków, którzy przybyli do Załęża z niemieckiej części Górnego Śląska. W większości byli to dawni powstańcy oraz działacze polityczni różnego szczebla którzy z Wielkopolski, przybyli na Górny Śląsk za Korfantym. W Załężu brakowało dla nich mieszkań, więc „upychano" ich w domach prywatnych. Większość nie posiadała żadnych środków do życia, więc automatycznie, koszty zakwaterowania spadały na właścicieli domów. W lutym 1923 r. założono Związek Powstańców Śląskich (ZPŚl) którego statutowym celem była działalność socjalna wśród uczestników powstań oraz opieka nad wdowami, sierotami i inwalidami powstańczymi. Od samego początku wytworzyły się w nim dwie grupy, jedna popierała Wojciecha Korfantego, druga Piłsudskiego.

W nowej rzeczywistości w niemieckojęzycznej rodzinie Bullów sytuacja była zróżnicowana. Zygfryd wiódł spokojny żywot emeryta a najmłodsza córka Marta, z dużym powodzeniem parała się krawiectwem. Gorzej wiodło się żonatemu synowi Janowi, jedynemu żywicielowi

niepracującej żony i dorastającej córki Elfrydy, który po zamknięciu kopalni Kleofas został bezrobotnym.

W podobnie trudnej sytuacji znalazła się polskojęzyczna rodzina Pierończyków, gdzie jedynym żywicielem siedmioosobowej rodziny był dziadek Jan. Przez lata pracy w kopalni Kleofas awansował od ciskacza (wozaka) do sztajgra (sztygara), kiedy zamknięto kopalnię, też znalazł się na bruku, przypłacając to ostrym załamaniem zdrowia. W tej sytuacji do akcji wkroczyła babcia Wiktoria, która ciężar zapewnienia rodzinie środków do życia przerzuciła na starszych synów, a sama zajęła się pielęgnowaniem chorego męża.

Z powyższych przykładów widać, że główną przyczyną ogromnej biedy mieszkańców załęskich familoków w tym czasie, było bezrobocie spowodowane zamknięciem kopalni Kleofas.

Babcia Wiktoria znalazła się w sytuacji nie do pozazdroszczenia, nie dosyć, że jedyny żywiciel rodziny został bez pracy, to jeszcze sam wymagał opieki. Zamiast biadolić uchwyciła ster rodzinny w swoje ręce i każdemu synowi nakreśliła precyzyjny plan obowiązków. Główny ciężar zapewnienia środków na utrzymanie rodziny spadł na barki najstarszego, 20-letniego Józika, który w międzyczasie zaliczył już swój debiut w handlu. Teraz jedynie do pomocy wziął młodszego brata, 16-letniego osiłka - Paulka. W domu była jeszcze trójka chłopców: 18-letni Francik – wyuczony lecz bezrobotny elektryk, oraz 12-letni Jorguś i o dwa lata młodszy Maks. Francikowi babcia Wiktoria nakazała przygotować chlewik do hodowli gadziny, młodsi bracia mieli mu w tym pomagać. Ponieważ na podobny pomysł wpadła większość mieszkańców załęskich familoków, osiedlowe podwórka i łąki za banom (torami kolejowymi) zaroiły się od ptactwa domowego. Najwięcej hodowano kur, kaczek oraz indyków, dużym powodzeniem cieszyły się również gęsi, które oprócz mięsa dostarczały również pierza na pierzyny. Oprócz tego w wielu chlywikach hodowano również świnie. Pozyskane tym sposobem mięso, w połączeniu z gymizą (warzywami) wyhodowaną w ogródkach działkowych, pozwalało bezrobotnym mieszkańcom familoków przeżyć kryzys, bez oglądania się na pomoc państwa. Ponieważ hodowlę trzody prowadzono w bezpośrednim sąsiedztwie familoków, przed chlywikami musiał panować idealny porządek, a z kojców nie mógł dolatywać żaden nieprzyjemny zapach.

PING PONG W ZAŁĘSKICH ŚWIETLICACH

Na osiedlu załęskich familoków dorastało już pokolenie urodzone w II RP, prawie wszystkie dzieci uczęszczały do polskich szkół i uczyły się języka polskiego, chociaż w Załężu była też szkoła dla mniejszości niemieckiej. Niezależnie od animozji rodziców, młodzież razem uczęszczała na zajęcia: do szkoły, kościoła czy do miejscowej świetlicy. W takich warunkach wyrastali również najmłodsi synowie babci Wiktorii, Jorguś i Maks, uczniowie polskiej szkoły nr 21(…). W dzisiejszym budynku „Aniołów Stróżów" znajdował się Dom Młodzieży Katolickiej i Związku Strzeleckiego w którym „Alojzjanie" zainstalowali pierwszy w Załężu stół do gry w ping ponga, który miejscowa młodzież codziennie oblegała do późnych godzin wieczornych. Ping pong dopiero co wchodził „na salony", więc w Załężu też zyskiwał coraz większą popularność. Dzięki takim świetlicom, w czasach II RP województwo śląskie stało się drugim po Warszawie potentatem gry w ping ponga. W Załężu wychowało się wielu późniejszych mistrzów celuloidowej piłeczki, takich jak Erich Kuc czy mój ojciec, Jorguś (Jerzy) Pierończyk, który w 1939 r., na krótko przed wybuchem II wojny światowej, zdobył Mistrzostwo Polski Robotniczych Instytutów Oświaty i Kultury (RIOK).

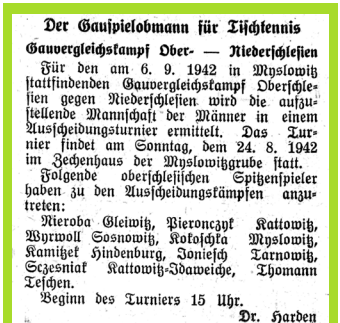

Der Gauspielobmann für Tischtennis

Gauvergleichskampf Ober- — Niederschlesien

Für den am 6. 9. 1942 in Myslowitz stattfindenden Gauvergleichskampf Oberschlesien gegen Niederschlesien wird die aufzustellende Mannschaft der Männer in einem Ausscheidungsturnier ermittelt. Das Turnier findet am Sonntag, dem 24. 8. 1942 im Zechenhaus der Myslowitzgrube statt.

Folgende oberschlesischen Spitzenspieler haben zu den Ausscheidungskämpfen anzutreten:

Nieroba Gleiwitz, Pieronczyk Kattowitz, Wyrwoll Sosnowitz, Kokoschka Myslowitz, Kamitzek Hindenburg, Joniesch Tarnowitz, Szczesniak Kattowitz-Idaweiche, Thomann Teschen.

Beginn des Turniers 15 Uhr.

Dr. Harden

1942 – 08 - 05

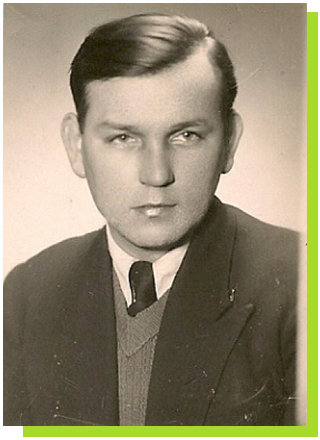

1942 r. Jorguś (Jerzy) Pierończyk

W 1940 r. zmarł ojciec, po jego śmierci matka mieszkała z dwoma najmłodszymi synami Jorgusiem i Maksem. Pozostali założyli już własne rodziny i mieszkali poza domem rodzinnym. W 1941 r. Jorgusia i jego dwóch starszych braci - Józika i Paulka zmobilizowano do Wehrmachtu (tych samych, którzy odwiedzili matkę w piwnicy w czasie bezładnego wycofywania się Wehrmachtu przez Załęże). Starszych braci wysłano na Ost Front, a Jorguś trafił do obozu w Hildesheim. Przed wysłaniem na front miał popracować u bauera i poduczyć się niemieckiego. Wolne chwile żołnierze spędzali na świetlicy w której znajdował

się stół do gry w tenisa stołowego. Dla Jorgusia nie mogło być nic lepszego, świeżo upieczony mistrz RIOK-ów szybko pokazał, że w tej grze nie ma sobie równych. Jego poczynania bacznie obserwował Unteroffizjer dr Paul Harden - w cywilu znany działacz tenisa stołowego. Po dłuższej obserwacji wezwał Jorgusia do swego biura i zaproponował mu zamianę służby w Wehrmachcie na pracę w kopalni. Postawił przy tym dwa warunki: Jorguś musiał sam załatwić sobie pracę na kopalni i zgodzić się na grę w jego drużynie. W międzyczasie do Wehrmachtu zmobilizowano również jego młodszego brata Maksa, jedynego opiekuna matki. W tej sytuacji oferta dr Paula Hardena spadła mu z nieba, po krótkim namyśle przyjął zaproponowane warunki i już wkrótce mógł wyściskać matkę w rodzinnym familoku przy ul. Schaffgotschstraβe 8a. Zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami, rozpoczął pracę w kopalni Kleofas i został zawodnikiem teamu dr Paula Hardena. Na początku 1942 r. w prasie pojawiły się pierwsze wzmianki o sportowych sukcesach Jorgusia. W styczniu 1943 r. Jorguś wziął ślub z niemieckojęzyczną ślązaczką Elfrydą Bulla, która od tej pory była jego tłumaczką i pielęgniarką. Jego kariera nabierała przyspieszenia, z każdego

1943 r. – ślub Jorga (Jerzego) i Elfrydy Pierończyk z. d. Bulla.
Na zdjęciu stoją od lewej: Elżbieta żona Francika, Francik – brat Jorga i Apolonia (Pola) żona kolejnego brata Paulka.
Siedzą od lewej: matka Wiktoria, żona Elfryda, Jorg oraz stryjenka – Waleska Pierończyk.

turnieju przywoził do domu jakąś nagrodę. Niestety, do dziś dotrwały tyko dwie: kryształowa waza i drewniana patera - reszta zaginęła podczas wojny. Dalszą karierę Jorgusiowi przerwało wkroczenie wojsk sowieckich na Górny Śląsk, przejście frontu przez Załęże spędził z rodziną w piwnicy rodzinnego familoka. Po ponownym uruchomieniu kopalni wrócił do pracy i czynnie włączył się w reaktywowanie przykopalnianej sekcji tenisa stołowego. W 1946 r. grając w składzie drużyny Zryw ZMW kop. :Kleofas Załęże wywalczył I miejsce w pierwszym powojennym turnieju o tytuł Robotniczego mistrza Polski, a w 1949 r. - zdobył indywidualne mistrzostwo Śląska pokonując w półfinale Witolda Krawczyka – aktualnego Mistrza Polski.

WOJSKA RADZIECKIE

W czasie pierwszego nalotu, w piwnicy nie było słychać żadnego odgłosu wybuchu, przy drugim gruchnęło tak, że cały familok zatrząsł się w posadach (…). Lokatorzy familoka byli święcie przekonani, że wszyscy Niemcy uciekli z Załęża, więc kiedy w styczniu 1945r. w piwnicy zjawili się dwaj żołnierze w mundurach Wehrmachtu nie wierzyli własnym oczom. Po chwili zorientowali się, że byli to moi wujkowie Józik i Paweł, którzy „po drodze" wpadli odwiedzić matkę - babcię Wiktorię. Według relacji ojca, babcia przez chwilę patrzyła na nich jakby przybyli z zaświatów (…). Później wycałowała synów tak mocno, że aż im hełmy z głów pospadały. Niemniej serdecznie powitał ich ojciec zapraszając do naszej piwnicy. Wujkowie zastrzegli, że wpadli tylko na sekundę i zaraz będą uciekać. Może i mieli taki zamiar, lecz dyskusja przeciągnęła się do rana. O świcie do piwnicy wpadł chłopak z sąsiedztwa wołając: „Ruski są na osiedlu, przeczesują dom za domem szukając niemieckich żołnierzy". W gwarnej dotąd piwnicy zapadła głucha cisza, wszyscy zdawali sobie sprawę co ich czeka jeżeli Rosjanie znajdą tu żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Wśród paraliżującego strachu, tylko dwie osoby zachowały zimną krew. Babcia Wiktoria kazała synom - żołnierzom przebrać się w cywilne ubrania, a memu ojcu poleciła ukryć ich mundury pod pryzmą węgla, oraz stary Hanys Kocima, który wszystkie kobiety z dziećmi na rękach oraz małe dzieci zebrał na schodach prowadzących do piwnicy i zatarasował nimi wejście. Sam stanął na szczycie schodów i pykając swoją nieodłączną fajkę, spokojnie czekał na dalszy rozwój wypadków. Wkrótce, w sieni dał się słyszeć stukot podkutych butów wojskowych przybliżający się do zejścia do piwnicy. Po krótkiej ciszy drzwi

do piwnicy zostały gwałtownie otwarte i stanął w nich sowiecki żołnierz z pepeszą gotową do strzału. Zaskoczony zbiegowiskiem kobiet z dziećmi na rękach i małych dzieci, nie próbował nawet zejść tylko ze szczytu schodów oznajmił donośnym głosem:

„Ja sowieckiej sałdat, sprasziwaju was, jest zdzies germańskij sałdat?”. (Ja żołnierz radziecki, pytam was, czy jest tu niemiecki żołnierz?).

Na co Hanys Kocima, pykając swoją fajkę, podtrzymywaną w ustach jednym z ostatnich swoich zębów, odpowiedział mu spokojnie w jego ojczystym języku:

„Zdies Giermancow niet” (Tu Niemców nie ma).

Żołnierz popatrzył jeszcze chwilę po twarzach przestraszonych kobiet, odwrócił się na pięcie i odszedł. W piwnicy jeszcze przez chwilę panowała niczym nie zmącona cisza, dopiero kiedy upewnili się, że sowiecki żołnierz sobie poszedł, zapanowała nieopisana radość.

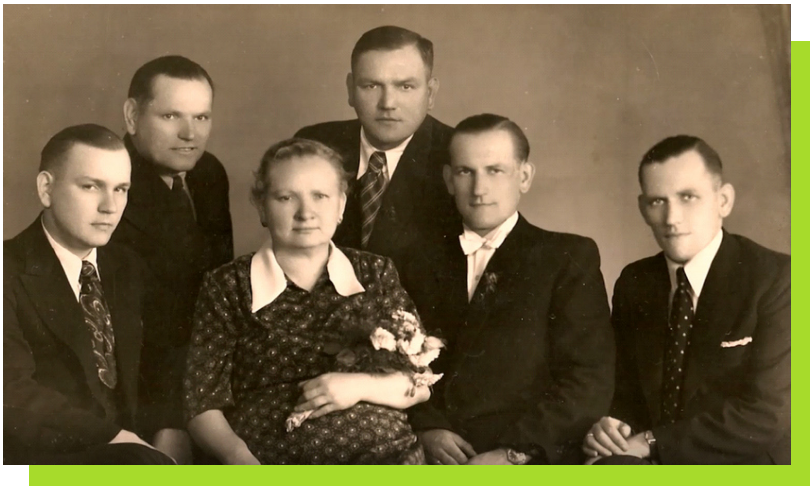

Rok 1948 babcia Wiktoria w otoczeniu synów. Od lewej Jorguś (mój ojciec), Maks (pod muszką) i Francik. U góry od lewej: Józik i Paulek.

Ginter Pierończyk opowiada swoją historię

Ginter Pierończyk – emerytowany górnik, po „restrukturyzacji górnictwa" został pisarzem. Jest także jednym z dwóch pomysłodawców Klubu Twórców Górnośląskich – KARASOL.

We wstępie do książki Michała Smolorza „Śląsk wymyślony" natknął się na zdanie „Być może wspólnymi siłami uda się poważną część Śląska – tego 'niewymyślonego' – z sejfów wydobyć, odhibernować i przywrócić do życia.

Ta myśl skłoniła go do „poszukiwania korzeni jego śląskich przodków."

Ponieważ nie miał doświadczenia w pisaniu, to postanowił je nabyć. W 2013 zgłosił się do Biblioteki Śląskiej w Katowicach na kurs dla początkujących pisarzy prowadzony w ramach Klubu Twórczego Pisania Marty Fox. Na zakończenie kursu wydano almanach w którym Marta Fox napisała: „Ginter Pierończyk też chce „ocalić od zapomnienia". Ma co ocalić i potrafi gawędzić, wiec życzę, by jego śląska saga, Załęski kasztan, została napisana i wydrukowana. Myślę, że pan Ginter Pierończyk ma w zanadrzu wiele podobnie ciekawych opowieści. Powinien w siebie uwierzyć i pisać, bo wie, jak stopniować napięcie dramaturgiczne, jak prowadzić czytelnika ku poincie". To wystarczyło aby zmobilizować go do napisania w latach 2014 – 2016, Trylogii załęskiej, na którą składają się: Asty kasztana"(2014), Synek z familoka (2016) oraz KLEOFAS w życiorys wpisany (2016). W 2016 Ginter Pierończyk wspólnie z Aleksandrą Różycką i Janem Gąsiorem wydali e-book zatytułowany Historia Załęża cegłą pisana w którym między innymi pokazane są pierwsze załęskie domy budowane z cegły. W 2018 w wydawnictwie Silesia Progress ukazuje się czwarta książka Pierończyka Meandry załęskiego sportu. W 2019 ukazała się jego Plecionka. Obecnie pisarz pracuje nad Frechownym gizdym.

Ginter Pierończyk jest wielkim miłośnikiem Załęża i jako pierwszy został uhonorowany nagrodą/tytułem Rady Jednostki Pomocniczej Nr 7 Załęże Przyjaciel Załęża.

Za wskrzeszenie historii rodzinnego domu przedstawionej w Astach kasztana przyznano mu tytuł „Kronikarza swoich czasów". Tytuł ten w ramach audycji Radia Katowice „Czy to prawda że" przyznali mu redaktorzy Beata Tomanek i śp. Bogdan Widera.

Opa Johann – ojciec Elfrydy (mojej matki)

Oma Rozalia – matka Elfrydy

Ocalałe trofeum ojca - Jorga (Jerzego) Pierończyka.
- drewniana patera,

1979 r. - Rodzinna Barbórka u ojca – górniczego emeryta. Na zdjęciu, u góry od lewej: mama Elfyda, ojciec Jorguś, najmłodszy brat Tadeusz z żoną Teresą i córką Moniką, moja żona Irena, obok niej stoi młodszy brat Piotr, ja siedzę obok jego żony Gabrieli trzymającej na kolanach syna Tomasza. Tyłem, w centralnym punkcie nasza córka Beata.

Das Jahr 1979 – Familie Barbórka bei ihrem Vater, einem Bergbau-Rentner. Auf dem Foto, oben links: Elfrydas Mutter, Vater Jorguś, der jüngste Bruder Tadeusz mit Frau Teresa und Tochter Monika, meine Frau Irena, neben ihr steht der jüngere Bruder Peter. Ich sitze neben seiner Frau Gabriella, die ihren Sohn Thomas auf den Knien hält. Im Mittelpunkt steht unsere Tochter Beata.